Michał Paluszyński

’Pawła Malucha’ bliskowschodnie przypadki

Przegląd Historyczno-Wojskowy 12 (63)/5 (238), 201-213

2011

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MUZEUM HISTORII POLSKI

MICHAŁ PALUSZYŃSKI

„PAWŁA MALUCHA" BLISKOWSCHODNIE PRZYPADKI

Pracując jako tłumacz, przez całą zmianę miałem pełne ręce roboty. Dzięki temu czas upływał niepostrzeżenie i na nudę nie miałem prawa się uskarżać. Lubiłem swoje zajęcia, często dość ryzykowne, ale nie wyobrażałem sobie, abym mógł przez pół roku przesiedzieć w obozie. Podróże po strefie buforowej na trasach zaopatrzenia, a także przez tereny okupowane, Izrael i wzgórza Golan, mimo iż męczące, były atrakcyjne pod względem poznawczym.

Pewnego popołudnia, w stroju raczej niedbałym, siedziałem w mesie z kolegami przy piwku. Przez radiowęzeł zostałem imiennie wezwany do dowódcy kontyngentu, tak jak stoję. Otrzymałem od niego polecenie, aby natychmiast udać się do Kwatery Głównej, do szefa transportu. Wódz wspaniałomyślnie udostępnił mi swego fiata z kierowcą.

Po kwadransie meldowałem się u szwedzkiego podpułkownika, siedzącego w towarzystwie dwóch angielskich oficerów Królewskiej Marynarki Wojennej. Postawny Szwed przedstawił mi oficerów z brytyjskiej flotylli okrętów rozminowujących wspólnie z Amerykanami, Rosjanami i Francuzami Kanał Sueski. Zwrócili się oni do dowództwa UNEF z prośbą o pomoc w zabezpieczeniu transportu mięsa, zakupionego przez flotyllę w Kairze, do miejsca jej dyslokacji w Port Saidzie. Tylko my dysponowaliśmy samochodami-chłodniami, ale bez zezwolenia Force Commandera (dowódcy sił) nie mieliśmy prawa wykonać takiej usługi dla jednostki nie wchodzącej w skład Sił Doraźnych ONZ. Ponieważ Anglicy zgodę taką od gen. Siilasvuo otrzymali, ściągnięto mnie do kwatery w celu domówienia szczegółów. Bez większych problemów dogadaliśmy się, że z Ismailii wyjedziemy dwoma chłodniami następnego dnia o godz. 6.00. Ostrzegłem jednak angielskich kolegów, że mogą być problemy z przejazdem przez odcinek zajęty przez wojska izraelskie, gdyż Żydzi na swoim terenie nie akceptują obecności Polaków. Ci uspokoili mnie, że wszystkie formalności ze stronami konfliktu są już załatwione, a w razie potrzeby na granicy strefy buforowej czekać na nas będą oficerowie łącznikowi, egipski i izraelski. W ciągu kilkunastu minut wszystkie szczegóły mieliśmy dograne, a więc, zgodnie z umową, następnego dnia rano miałem się z Anglikami spotkać w naszym obozie.

Spokojnie wróciłem do obozu i zrelacjonowałem dowódcy ustalenia poczynione z szefem transportu UNEF i Anglikami. Ten je w pełni zaakceptował, polecił jedynie, aby samochody były odpowiednio przygotowane i żebym na wszelki wypadek zabrał ze sobą dobrego mechanika samochodowego oraz speca od lodówek. Byłby bowiem nie lada wstyd, gdyby na skutek niesprawności pojazdu angielskie żarcie się popsuło. Szybko wróciłem do kolegów, którzy wciąż siedzieli przy piwku. Nie dane mi było zbyt długo tam posiedzieć, bo do akcji włączyło się WSW.

Do kolumny złożonej z dwóch polskich chłodni i jednego angielskiego landrovera bezwarunkowo chciało dołączyć co najmniej dwóch wysokiej klasy specjalistów naszego kontrwywiadu. Oczywiście, nie mówili po angielsku, ale podobno byli niezbędni po drugiej

stronie frontu. Mimo najszczerszych chęci, fizyczną niemożliwością było zabranie ich, chyba że zamiast mechaników, co absolutnie nie leżało w moim interesie. Ponieważ „uszatkowie" obstawali przy swoim, nie obyło się bez interwencji dowódcy, który choć raz pogonił ich gdzie pieprz rośnie. Rano zresztą okazało się, że Anglicy musieli drogą radiową podać zarówno Egipcjanom, jak i Żydom numery rejestracyjne pojazdów, nazwiska oraz numery kart identyfikacyjnych Polaków, tak więc zabranie jakiejkolwiek osoby dodatkowej było niemożliwe, tym bardziej że Izraelczycy i tak robili trudności z wpuszczeniem aż pięciu polskich żołnierzy z dwoma samochodami. Nieustępliwi panowie z WSW byli jednak przy naszym odjeździe i prawdopodobnie tylko dla dodania sobie prestiżu myśląc, iż jestem tak głupi jak oni mądrzy, polecili mi przywiezienie z tej podróży planu izraelskiego okopu. Nie zdzierżyłem i obrzuciłem ich epitetami, spośród których „idioci" można by uznać za najbardziej parlamentarny. Faktycznie trzeba być nie lada kretynem i ignorantem w sprawach wojskowych, aby doszukiwać się jakichkolwiek różnic w tej materii bez względu na szerokość geograficzną. Jestem święcie przekonany, że nabór do WSW ludzi typu BMW (bierni, mierni, ale wierni), o poziomie inteligencji „ćwierć milicjanta", w szczególności do organów nie wiadomo dlaczego nazywanych kontrwywiadowczymi, przysparzał pracownikom prawdziwego i utajnionego KW, niezbędnego przecież w każdym państwie, o wiele więcej szkód niż pożytku.

W Kairze bardzo sprawnie załadowaliśmy wołowe półtusze do chłodni i ruszyliśmy w długą drogę przez pustynię. W potwornym upale, ale bez żadnych kłopotów, dotarliśmy do strefy buforowej. Tam przy jednym z posterunków czekał na nas egipski porucznik w nieprawdopodobnie połatanym mundurze, w tenisówkach zamiast butów, pełniący rolę oficera łącznikowego. Przez strefę okupowaną przez wojska izraelskie przejechaliśmy bez najmniejszych problemów i najkrótszego nawet postoju, ale eskortowani przez dwa transportery opancerzone M-113 z żołnierzami uzbrojonymi po zęby, wśród których było także dwóch emigrantów z Polski, z 1968 roku.

Port Said powoli powracał do normalnego życia, ewakuowani w czasie wojny mieszkańcy wracali do rodzinnych stron, a port pracował już bez większych zakłóceń. W pierwszej kolejności podjechaliśmy na keję, gdzie przycumowany stał brytyjski okręt baza. Marynarze wraz z naszymi kierowcami natychmiast przystąpili do rozładunku zmrożonego mięsa, a ja z Egipcjaninem i Anglikami pojechaliśmy landroverem do miasta na proszony lunch. Szczerze mówiąc, nie widziałem nigdy człowieka jedzącego równie łapczywie jak egipski porucznik. Facet chyba nie miał nic w ustach od co najmniej kilku dni. Zanim my zdążyliśmy zabrać się do jedzenia, jego talerz był całkowicie pusty, ale na polecenie jednego z Anglików natychmiast został ponownie napełniony. Po lunchu wypiliśmy po małej whisky. Ciekawe, że Arab, jak sądzę wyznający islam, też nie stronił od trunku. Odwieźliśmy porucznika do jego misji wojskowej, a sami wróciliśmy do portu na okręt. Załadunek był już dawno skończony, a moi kierowcy i mechanicy, zaproszeni przez angielskich marynarzy, urzędowali w mesie dla podoficerów. Nas zaproszono do mesy oficerskiej, gdzie czekał dowódca flotylli, aby podziękować za pomoc i poczęstować nas kufelkiem oryginalnego ale.

W trakcie rozmowy komandor zaproponował, żebyśmy przenocowali na okręcie, bo możemy nie zdążyć do godz. 20.00 przeprawić się przez Kanał Sueski. Dokładnie o godz. 8.00 wieczorem egipscy saperzy powinni na noc demontować mosty pontonowe na kanale,

ale doskonale wiedziałem, że z powodu wrodzonego lenistwa robią to bardzo rzadko, aby nie przemęczać się rano przy ponownym montażu. Faktem jest, że po godz. 20.00 wyjazd ze strefy buforowej mógł okazać się niemożliwy. Szczerze mówiąc, propozycja była nęcąca, ale nie bez podstaw obawiałem się, że chłodnie mogą być potrzebne w obozie, więc serdecznie podziękowałem za zaproszenie i ruszyliśmy w drogę powrotną licząc, że do przeprawy pontonowej dotrzemy na czas.

Kanał przekroczyliśmy kilka minut przed częściowym rozmontowaniem mostów. Największe problemy były jednak przed nami, powszechną bowiem tajemnicą było, iż egipskie posterunki po zapadnięciu zmroku nie przepuszczały żadnych pojazdów jadących z kierunku frontu w głąb kraju – ani własnych, ani ONZ. Mimo iż zakaz ten był dość restrykcyjnie egzekwowany, postanowiłem przebijać się, byle jak najbliżej Ismailii. Licząc na to, że egipskie posterunki im dalej od linii frontu, tym mniej są czujne, pozwolą nam dotrzeć do domu.

Pierwsze posterunki przejechaliśmy bez najmniejszego problemu, ale zmrok na Bliskim Wschodzie zapada bardzo szybko. Dojeżdżając do kolejnego punktu kontrolnego, z daleka w świetle reflektorów zauważyłem, że szosa zablokowana jest biało-czerwonymi beczkami z piaskiem oraz zasiekami z drutu kolczastego. Teoretycznie była szansa objechać posterunek z jednej lub drugiej strony, ale istniało ryzyko, że wpakujemy się na pole minowe lub zostaniemy ostrzelani, zgodnie zresztą z prawem wojennym.

Zatrzymaliśmy się przed samą zaporą. Wyszedł do nas na dobre rozespany egipski starszy sierżant, ubezpieczany z przydrożnych stanowisk ogniowych rozmieszczonych po obu stronach szosy przez kilku kolegów trzymających nas na muszkach swej broni. Szczęśliwie dla nas podoficer po angielsku znał tylko kilka słów i właściwie porozumiewaliśmy się na migi. Z tego co pokazywał doskonale rozumiałem, że nie może nas puścić i przyjdzie nam do świtu przeczekać w samochodach. Ja z kolei usiłowałem go przekonać, że jadę z Port Saidu i mam zgodę na przejazd wydaną przez oficera łącznikowego. Handryczyliśmy się kilkanaście minut, w końcu zrezygnowany sierżant kazał mi wejść do bunkra, gdzie był telefon polowy i połączył mnie najprawdopodobniej ze swoim przełożonym. Angielski podporucznika był niewiele lepszy niż sierżanta. W każdym razie po moim długim monologu, z którego najprawdopodobniej niewiele zrozumiał, nakazał swemu podwładnemu, aby nas przepuścił.

Przez kilka następnych posterunków mieliśmy spokój, bo puszczano nas nawet bez zatrzymywania samochodów. Zapaliła się w nas iskierka nadziei, że może tak będzie do końca. Niestety, widocznie skończył się sektor odpowiedzialności porucznika, z którym rozmawiałem, bo po kilkunastu kilometrach sytuacja się powtórzyła. Tu wypada wspomnieć, że wielu Arabów mówi lepiej lub gorzej po angielsku, ale czytają i piszą tylko nieliczni. Dowódcy posterunku, na którym nas znów zatrzymano, starszemu wiekiem kapitanowi, najprawdopodobniej powołanemu z rezerwy, wciskałem ten sam, co poprzednio kit. Facet wszystko rozumiał, ale z uporem maniaka żądał jakiegoś dokumentu z pieczęcią. Wpadłem zatem na genialny pomysł i stawiając wszystko na jedną kartę, wręczyłem mu opieczętowany rozkaz wyjazdu kierowcy oraz swój list do żony. Moi kierowcy mało nie posikali się ze śmiechu, kiedy zobaczyli jak kapitan, przyświecając sobie latarką, patrzy jak sroka w gnat w list od mojej małżonki, przewracając go na wszystkie strony. W końcu, wziąwszy oba

papiery, poszedł do telefonu. Coś długo tłumaczył, ale najważniejsze, że z pozytywnym dla nas skutkiem. Dalej jechaliśmy już przez nikogo nie niepokojeni, aby około godz. 2.00 w nocy, ku pełnemu zaskoczeniu kanadyjskich służb dyżurnych, wrócić do obozu w Ismailii.

Kilka następnych dni po obozie, również w jego cudzoziemskich elementach, ku uciesze żołnierzy wszystkich nacji krążyły anegdoty jak to „Maluch" w nocy przejechał bufor na list od żony. Jak to zazwyczaj bywa, przekazywana z ust do ust historia z każdym dniem wzbogacała się o nowe szczegóły, które w rzeczywistości nigdy nie miały miejsca. Ostateczna wersja znacząco odbiegała od faktycznej. Według niej, list małżonki zrobił tak wielkie wrażenie na Arabach, że w środku nocy specjalnie dla mnie usprawniali zdemontowany most pontonowy na Kanale Sueskim. Chodziłem zatem przez czas jakiś w aureoli sławy i postanowiliśmy ze Zbyszkiem Fasolką oraz polskimi Kanadyjczykami – Prociukiem i Wąsaczem, opić ten, bądź co bądź, bezprecedensowy wyczyn, którego echo podobno dotarło nawet do Force Commandera. Wypada również wspomnieć, że w naszej bazie na odrestaurowanym przez polskich saperów lotnisku pod flagą ONZ stacjonowały dwa kanadyjskie lekkie samoloty transportowe typu „Buffalo" oraz nie wchodząca w skład UNEF eskadra transportowych śmigłowców CH-47 „Chinook" z US Navy, rozminowująca Kanał Sueski, a jej dowódcą był też Polak z Detroit, kpt. Jack Pacek. Tego wieczoru przyjacielskie spotkanie skończyło się grubo po północy. Mogłem sobie na taki luksus pozwolić, bo następnego dnia miałem wolne, w przeciwieństwie do Zbycha, który rano o godz. 8.30 miał lecieć z Kanadyjczykami do Damaszku, a stamtąd na wzgórza Golan, jako wsparcie dla Kazia Trzmielewskiego.

Dziwnym trafem kolega przespał ranny samolot do Damaszku i Kanadyjczycy odlecieli bez niego. Rzecz jasna musiało się to stać powodem kolejnej afery w polskim kontyngencie. Zbychu został wezwany na dywanik, a chwilę później również i ja, bo ktoś życzliwy raczył donieść dowódcy, że wspólnie z kolegą i Kanadyjczykami brałem udział w wieczornej biesiadzie. W czasie kiedy pułkownik rugał nas niemiłosiernie, a właściwie Fasolkę, na jego biurku zaterkotał telefon z Kwatery Głównej. Po minie dowódcy widać było, że coś się stało, ale ponieważ słuchał nic nie mówiąc, nie mogliśmy zorientować się o co chodzi. Po zakończeniu rozmowy, Stary odłożył słuchawkę, podszedł do lodówki, wydobył z niej butelkę „Jaśka Wędrowniczka", nalał sobie i nam oraz tajemniczo zaczął: „No, masz chłopie więcej szczęścia niż rozumu! Miałem zamiar cię karać dyscyplinarnie, ale dzisiaj zezwalam ci się uchlać do nieprzytomności, bo urodziłeś się po raz drugi! «Buffalo«, którym miałeś lecieć na Golan, został zestrzelony przez Syryjczyków i wszyscy na pokładzie zginęli! Ty byłbyś jeszcze jedną ofiarą, tak więc dziękuj Bogu, bo wóda uratowała ci życie!".

Oenzetowski samolot zboczył z kursu i dlatego w jego kierunku odpalono rakietę przeciwlotniczą, która trafiając w cel, spowodowała śmierć szesnastu osób znajdujących się na jego pokładzie. Wśród ofiar był mój dobry kolega kanadyjski, chor. Earnie, który wracał po zakończonej misji do kraju. Niestety, nie udało mu się znaleźć na łonie rodziny. Kilka dni później do obozu przywieziono szczątki zestrzelonego samolotu, które zmieściły się w jednym zaledwie plastikowym worku. Najbardziej podłamany tym wypadkiem był dowódca amerykańskiej eskadry śmigłowców, kpt. Pacek, pilot kanadyjskiego „Buffalo" był bowiem jego serdecznym kolegą ze studiów w Akademii Sił Powietrznych w Colorado Springs.

Trudno powiedzieć dlaczego, ale od czasu katastrofy kanadyjskiego „Buffalo" jego kontakty z nami zacieśniły się. Prawie cały wolny czas wytracał w polskiej mesie, w kinie polowym lub u nas na kwaterze, spędzając tym samym sen z powiek wyspecjalizowanym komórkom organizacyjnym Polskiej Wojskowej Jednostki Specjalnej. Pacek opowiadał o mile spędzanych w Izraelu weekendach, dla nas rzecz jasna całkowicie niedostępnych, nie tylko ze względu na zakazy polskich i izraelskich władz, ale przede wszystkim z prozaicznych przyczyn finansowych. Zawsze, kiedy u nas w baraku pojawiał się amerykański lub kanadyjski gość, natychmiast pod byle jakim pretekstem dołączał do nas kompanijny politruk, por. Józef B. (skrót nazwiska pochodzi od redakcji – red.). Był to typowy oficer z awansu społecznego. Sądząc po wieku, długo musiał być podoficerem zawodowym, a jego poziom ogólnej inteligencji absolutnie nie wskazywał na to, aby ukończył jakiekolwiek studia, z wyjątkiem „tajnych kompletów maturalnych" w macierzystej jednostce. Można więc bez żadnej przesady stwierdzić, iż był tak bezdennie głupi, że aż sympatyczny.

Podczas jednej z wieczornych wizyt, Pacek, lekko już na rauszu, zaproponował, że na następny weekend zaprasza nas do Hajfy. Prociuk i Wąsacz, którzy już taką eskapadę zaliczyli nie raz, usilnie namawiali nas do wzięcia w niej udziału. Pacek gwarantował nieodpłatny transport powietrzny w obie strony jednym ze swoich śmigłowców. Brak środków finansowych oraz niehonorowanie przez Żydów polskiego paszportu – te kwestie zostały rozwiązane niemal na poczekaniu. Problemy finansowe dobrowolnie zdecydowali się wziąć na siebie nasi trzej rodacy zza oceanu, a żaden dokument osobisty, oprócz oenzetowskiej karty identyfikacyjnej, zdaniem wszystkich, nie będzie potrzebny, ponieważ razem z kilkoma Amerykanami wylądujemy w cywilnych ciuchach na izraelskim lotnisku wojskowym, gdzie nikt sojuszników nie sprawdza.

Szczerze mówiąc, baliśmy się podjąć takiego ryzyka, ale kiedy ku naszemu zaskoczeniu B. pierwszy zdecydował się wziąć udział w atrakcyjnej eskapadzie, nie mogliśmy już oprzeć się pokusie. Szczegóły dogadaliśmy w ten sposób, że cywilne ciuchy załatwi nam Jack, a nasza trójka oficjalnie wypisze się na wyjazd do Kairu. Aby nie być całkowicie bez grosza, w kanadyjskiej mesie wymieniliśmy trochę egipskich funtów na dolary, ale i tak byliśmy ubogimi krewnymi w stosunku do naszych zagranicznych kumpli.

W sobotni ranek sprzed bramy głównej obozu odjechaliśmy taksówką, rzekomo do Kairu. Wypiliśmy piwo w ismailskiej „Oazie", skąd Leszek Wąsacz furgonetką przywiózł nas na lotnisko. Tam szybko przebraliśmy się w jeansy i koszulki polo, przygotowane przez Packa, i załadowaliśmy się do „Chinooka", w którym znajdowało się jeszcze kilkunastu Amerykanów, także w cywilnych ciuchach. Śmigłowiec pilotował sam Jack, a nam, mimo potwornego huku panującego w latającym kolosie, głowy pękały z obaw o mające nastąpić lądowanie na izraelskim lotnisku w Hajfie. Obawy okazały się jednak całkowicie bezpodstawne, bo wylądowaliśmy na podmiejskim polowym lądowisku eksploatowanym przez izraelską Marynarkę Wojenną i US Navy, a captain Pacek był tam dobrze znany, nikt więc nas nawet nie zapytał o jakikolwiek dokument tożsamości.

Z lądowiska pojechaliśmy wojskową furgonetką do centrum miasta. Na mnie zrobiło ono oszałamiające wrażenie. Olbrzymi ruch pojazdów i pieszych, mnóstwo superelegancckich i bogato zaopatrzonych sklepów, kiosków i kramików, ale wszędzie idealnie czyściutko, znalezienie na ulicy papierka czy niedopałka graniczyło z cudem. Mówię

oczywiście o centrum, bo na przedmieściach, zamieszkałych przez Arabów i emigrantów z innych krajów afrykańskich, panował typowo arabski bałagan, z nieodłącznym przyprawiającym o mdłości fetorem rozkładających się śmieci. Powłóczyliśmy się trochę po mieście, po drodze wstępując do kilku restauracji na piwko. Zwiedziliśmy Muzeum Kolejnictwa, gdyż usytuowane ono było na trasie do polskiej restauracji, dobrze znanej Jackowi, gdzie podobno można było zjeść tanio i dobrze, jak w domu. Faktycznie, niewielka restauracyjka „Wilnianka", położona na skraju dzielnicy portowej do superekskluzywnych zaliczać się nie mogła, ale za to kusiła polskimi, chociaż może bardziej litewskimi, potrawami. Na szybie w oknie wystawowym po polsku reklamowano bigos, barszcz z uszkami, kołduny, zalewajkę, pierogi, zrazy, a nawet kaczkę z pyzami. Takiej przyjemności odmówić sobie nie mogliśmy.

Gdy tylko zasiedliśmy przy dużym, wspólnym stole, podszedł do nas właściciel – polski Żyd, który wraz z rodzicami wyemigrował z Wilna w 1936 roku, by po 1947 roku osiąść na stałe w Izraelu. Twierdził, że czasami trafiają mu się klienci z Polski, głównie marynarze, ale nigdy tylu na raz. Przyznał zresztą, że najczęściej restaurację odwiedzają staruszkowie ze starej, polskiej emigracji, którym z lat dzieciństwa pozostał apetyt na specjały naszej, w tym regionie prawie nieznanej sztuki kulinarnej. Faktycznie najedliśmy się do syta, i to po bardzo przystępnych cenach. W dowód uznania za wilczy apetyt, wykazany podczas obiadu, cała nasza szóstka została potraktowana na koszt firmy kieliszkiem „Wyborowej".

Po lunchu pojechaliśmy na górę Karmel, skąd roztaczał się przepiękny widok na morze i całe miasto. Zwiedziliśmy także zlokalizowany na szczycie jeden z nielicznych, jak mi się wtedy wydawało, katolickich klasztorów na terytorium Izraela. Wieczorem, dla przeciwwagi, Jack zabrał nas na kolację do lokalu, który okazał się typowym night clubem. Była to elegancka, 2-kondygnacyjna restauracja, w pobliżu przystani promowej. Kanadyjscy kumple, jak sądzę, już tam z Jackiem bywali. Zorientowani ile trzeba zapłacić za wstęp, ustalili, chyba jeszcze w Ismailii, kto za kogo płaci. Tak więc, zanim dowiedzieliśmy się od portiera ile kosztuje wstęp, koledzy już zapłacili wcale niebagatelną sumę 100 dolarów od łebka. O żadnym zwrocie pieniędzy nie mogło być mowy, gdyż dla nich byliśmy gośćmi. Wstyd się przyznać, ale wyłożona przez nich kwota znacznie przewyższała nasz stan posiadania.

Klimatyzowany lokal, luksusowo wyposażony, wprawił nas w stan zakłopotania, bo przecież ceny musiały być tu obłędne. Tymczasem Jack poinformował nas, że możemy dla siebie zamawiać co się nam żywnie podoba. Wszystko jest wliczone w koszt biletu wstępu, możemy więc jeść i pić do woli, dodatkowo trzeba jednak płacić za drinki dla dziewczyn. Na sali faktycznie było ich sporo, co najmniej piętnaście mocno roznegliżowanych, o różnym odcieniu skóry, od białego przez żółty, aż do całkowicie czarnego. Panienki absolutnie nie narzucały się, siedziały po dwie–trzy przy stoliku, czekając na jakiś zachęcający gest z naszej strony. Niektóre tańczyły ze sobą w takt muzyki płynącej z magnetofonu lub grającej szafy. Oprócz nas w lokalu było jeszcze trzech mężczyzn, prawdopodobnie Włochów. Do naszego stolika podeszła skąpo odziana kelnerka i grzecznie zapytała, co podać i czy nie życzymy sobie towarzystwa dziewczyn. Z panienek zrezygnowaliśmy, ale za to poprosiliśmy o butelkę whisky, lód i wodę mineralną. Dziewczyna dostała „kwadratowych oczu", trzykrotnie pytała, czy naprawdę chcemy całą butelkę. Swoim zamówieniem wzbudziliśmy sporą sensację, bo po chwili podszedł do nas właściciel, aby upewnić się, czy kelnerka właściwie przyjęła zamówienie. Nie miał widać w swym lokalu do czynienia z sześcioma Polakami

na raz. Wargi mu opadły, kiedy po jakimś czasie znów powtórzyliśmy zamówienie, a skutków zdematerializowania pierwszej butelki po klientach absolutnie nie było widać. W trakcie opróżniania drugiego whiskacza Jack i Lechu ruszyli w tany, a tuż po nich towarzysz B. Panienki były oczarowane, kiedy panowie z szacunkiem całowali je w dłonie, ale z drugiej strony ich obawy z pewnością budziło to, że nie padały pod ich adresem żadne konkretniejsze propozycje. Padłyby one z pewnością, gdyby nie stan naszych portfeli, za usługi bowiem, czynione przez panienki w apartamentach na górze, trzeba było dodatkowo płacić żywą gotówką, a taką przecież nie dysponowaliśmy. Grubo po północy, przy „rozpracowywaniu" trzeciej buteleczki, Pacek i Prociuk, od pewnego czasu obtańcowujący dwie panienki, udali się z nimi na górę, do pokoi uciech cielesnych, skąd zadowoleni z usług wycenionych na 100 dolarów od łba, powrócili do towarzystwa. Proponowali nam, abyśmy bez ceregieli poszli w ich ślady, oczywiście na ich koszt, ale z przykrością propozycję musieliśmy odrzucić. To dopiero byłaby kompromitacja, gdyby sprawa ujrzała światło dzienne, że oficer socjalistycznego państwa, członka Układu Warszawskiego, „obraca" panienkę z uciśnionego Trzeciego Świata za dolary „zgniłego kapitalisty" z NATO. Ten numer nie mógł przejść i całe dla nas szczęście, że nie przeszedł.

Po powrocie z weekendowego wyskoku do Hajfy, święcie przekonani o swojej bezkarności, zostaliśmy zaskoczeni, gdy w poniedziałek po lunchu całą naszą konspiracyjną trójcę wezwano przed oblicze pierwszego po Bogu. Okazało się, że z najdrobniejszymi detalami weekendowego wypadu doniósł na nas zidiociały politruk. Myślał pewnie, iż donosząc na nas, w tym także na siebie, uratuje tyłek i usprawiedliwi swoją z nami nielegalną obecność w Izraelu. Tymczasem wszystko skupiło się na nim jako na „aparatczyku", że nie interweniował w porę i skutecznie. Wysłuchaliśmy długiej i ostrej reprymendy. Podejrzewam, że gdyby procedura dyscyplinarnego odesłania nas do kraju nie musiała przechodzić przez Kwaterę Główną i być przesyłana do Nowego Jorku, jak amen w pacierzu w trybie przyspieszonym znaleźlibyśmy się w kraju. Tak więc, dzięki Bogu, afera rozeszła się po kościach, ale przypuszczam, że ślad po niej na pewno został w naszych utajnionych teczkach personalnych.

Wraz ze Zbychem byliśmy zbulwersowani donosem B. i intensywnie obmyślaliśmy rewanż.

Wariant spoliczkowania go odpadł, gdyż wiązał się ze zbyt poważnymi konsekwencjami. Z bratnią pomocą przyszedł nam Bogdan Winniczek, który we wszystko wtajemniczony, kategorycznie odradzał jakąkolwiek przemoc, optując za publicznym ośmieszeniem donosiciela, a tym samym całego aparatu, zwłaszcza tej jego części wywodzącej się jak B. z awansu społecznego. Łatwo powiedzieć, ale jak do tego doprowadzić? Rozwiązanie problemu przypadkowo podsunęło nam życie.

Towarzysz B. lubił sobie od czasu do czasu ostro popić, a z powodu całkowitego bojkotu, nie mógł sobie znaleźć kompanów nawet do tak atrakcyjnego zajęcia pozasłużbowego. Musiało go to bardzo męczyć, bo kilkakrotnie podejmował bezskuteczne próby ponownego zbliżenia się do nas.

Pod koniec sierpnia świętował swoje imieniny kolega Winniczek, który *de facto* na imię miał Bohdan. Impreza miała mieć charakter bardzo kameralny, odbywała się bowiem w jego pokoju sąsiadującym z naszym, a oprócz solenizanta uczestniczyliśmy w niej tylko Zbyszek i ja. Pod wieczór zupełnie niespodziewanie w pokoju kolegi pojawił się politruk

z flaszką i imieninowymi życzeniami. Zgodnie ze staropolskim obyczajem, na imieniny nikogo się nie zaprasza, a każdy przybywający z życzeniami powinien być ugoszczony, więc Bogdanowi nie wypadało nic innego jak zaprosić B. do suto zastawionego stołu. Pan Józef, jak sądzę, zanim zdecydował się do nas dołączyć, musiał chlapnąć kilka głębszych, bo z zasady mrukliwy, teraz rozgadał się jak bazarowa przekupka, a na dodatek po kilku toastach był już kompletnie „ugotowany". Jeszcze dwa szybkie i nasz Ziutek nieprzytomny legł na łożu boleści.

Przy jego wydatnej pomocy zapas imieninowego alkoholu skończył się i Boguś z własnej i nieprzymuszonej woli udał się do kantyny, aby uzupełnić zapas. Gdy wrócił po kilku minutach, podzielił się z nami genialnym pomysłem na ośmieszenie B.

Otóż, licznie zgromadzone w kinie polowym wojsko właśnie oglądało film, a przed zapleczem kanadyjskiej mesy stał wózek zaprzężony w osiołka, którym arabski chłopak wywoził śmieci i odpadki z lokalu. Plan Winniczka był naprawdę perfidny. Za dolara wypożyczył od Araba osiołka wraz z uprzężą, na godzinę. Kadry w baraku nie było, gdyż albo siedziała w mesie na wieczornym drinku, albo oglądała film w kinie.

Z pokoju B. wystawiliśmy na korytarz jego metalowe łóżko polowe i w sztok pijanego politruka ułożyliśmy na nim, nie zapominając o uprzednim ściągnięciu mu portek. Nawet się nie poruszył i nie zmienił tonacji ani częstotliwości chrapania. Do wyrka zaprzęgliśmy osiołka, wabiąc go suchym chlebem, i wyprowadziliśmy dziwny zaprzęg na zewnątrz baraku. Bogdan co kawałek na asfaltowej drodze rozkładał ośli przysmak i łakome, z reguły wygłodzone zwierzę, ciągnąc nietypowy ładunek, krok po kroku, robiąc dłuższe lub krótsze przerwy degustacyjne, systematycznie zbliżało się do polowego kina. My tymczasem szybko powróciliśmy do biesiadnego stołu, udając, że o niczym nie wiemy.

W pewnym momencie poderwał nas wrzask rozbawienia dochodzący do baraku z widowni kina. Zaciekawieni wybiegliśmy z budynku i naszym oczom ukazał się widok rozweselonych żołnierzy i kadry, oblegających ośli zaprzęg i kompletnie pijaniusieńkiego, niewiele rozumiejącego z całej sytuacji, dopiero co rozbudzonego B. Ktoś z kadry szybko ocenił, że jest to przecież kompromitacja oficera wobec podwładnych, i spowodował błyskawiczne usunięcie z pola widzenia obiektu wesołości naszych, i nie tylko naszych żołnierzy.

Zemsta, do której oczywiście pod żadnym pozorem, mimo nie pozbawionych sensu podejrzeń, nie przyznaliśmy się, sprawiła nam wprost nieopisaną przyjemność. Do końca zmiany politruk nawet nie wytknął nosa ze swej kapciory i potwornie przez nas doświadczony, w samotności i odosobnieniu dotrwał do końca misji.

Dowództwo wprawdzie podejrzewało nas o zorganizowanie tej hecy, ale nie mogło nam tego udowodnić. Sprawa umarła śmiercią naturalną.

Ciągłe kursowanie na trasie Ismailia–Kair–Ismailia trochę mnie znudziło. Łapałem więc każdą okazję, aby uzyskać zgodę na wyjazd w każdym innym kierunku. Na początku września, gdy zaczęła się rotacja batalionu z Ghany, przewoziłem kompanię czarnoskórych *peacekeeperów* z lotniska Heliopolis do Fanary nad Jezioro Gorzkie, a stamtąd kompanię wracającą do kraju zabierałem do Ismailii, gdzie w bazie jeszcze przez miesiąc pełniła służbę wartowniczą, wolny czas wykorzystując na wycieczki i ostatnie przed odlotem zakupy. Stosunki między Ghańczykami i Polakami były wzorowe, nie dotyczyły ich jakiekolwiek ograniczenia ze strony władz, tak z jednej, jak i z drugiej strony. W bazie Fanara, położonej

w przepięknej oazie na samym brzegu Dużego Jeziora Gorzkiego, dobrze mi znanej, ponieważ co najmniej kilka razy woziłem naszych żołnierzy do położonego nieopodal na pustyni polskiego cmentarza wojskowego z czasów II wojny światowej, przyjmowany byłem bardzo serdecznie. Ten pozytywny stosunek Ghańczyków do nas wypływał głównie z tego powodu, że byliśmy jedyną białą nacją bratającą się z „Czarna Kolega". Nie chcę przez to powiedzieć, że inne kontyngenty traktowały czarnoskórych towarzyszy broni w sposób niewłaściwy, ale po prostu nie bratały się z nimi na gruncie towarzyskim, no bo kto się brata z ubogim, niezbyt wyedukowanym i podobno komunizującym afrykańskim krewnym.

Struktury organizacyjne, musztra i system szkolenia armii ghańskiej oparte były na kolonialnych wzorach, głównie brytyjskich, nawet komendy i rozkazy wydawane były w języku angielskim. Oficer, z nieodłączną szpicrutą pod pachą był dla swych żołnierzy wszechwładnym Bogiem.

W Fanarze na własne oczy widziałem jak szef sztabu batalionu karał chłostą niezdyscyplinowanego szeregowca. Dyscyplina wojskowa oraz autorytet dowódcy u Ghańczyków dla nas Polaków początkowo wydawał się być niedościgłym wzorem, o którym nam pozostawało tylko pomarzyć. Identycznie, tak samo jak do swoich, ghańscy żołnierze odnosili się do oficerów wszystkich innych kontyngentów, choć w sposób szczególny wyróżniali Polaków. Być może wynikało to z prostego faktu, że Polacy w przeciwieństwie do innych armii, zwyczajowo witają się przez podanie ręki, również z niższymi od siebie stopniem. Tak więc ghański szeregowiec mógł czuć się zaszczycony, kiedy witał się z nim biały oficer w stopniu kapitana czy majora. W swoim kraju z pewnością by tego nie doświadczył.

Pewnego ranka razem z Fasolką rozwoziliśmy nową zmianę na posterunki w strefie buforowej. Weteranów zabieraliśmy do Fanary, a stamtąd po obiedzie do Ismailii. W dowód uznania za dobrze i sprawnie wykonaną robotę, dowódca rotowanej kompanii zaprosił nas na przyjęcie organizowane wieczorem w Ismailii, w ich mesie. Oczywiście zameldowaliśmy przełożonym o zaproszeniu i bez najmniejszych problemów uzyskaliśmy aprobatę na uczestnictwo w imprezie. Żeby do „Czarna Kolega" nie pójść z gołymi rękoma, kupiliśmy w kantynie po butelce „Wyborowej" i tak uzbrojeni o wyznaczonej porze udaliśmy się do ghańskiego miasteczka namiotowego.

Mesę odnaleźliśmy bez najmniejszych kłopotów, był to bowiem największy namiot w całym obozie. Z przyjęcia, które naszym zdaniem miało być tylko zwykłym spotkaniem oficerów dwóch nacji przy kielichu, Ghańczycy zrobili wielką pompę międzynarodową imprezę, z własną prasą i kroniką filmową. Przed wejściem do namiotu powitał nas zapraszający na bankiet kapitan, a następnie przedstawił dowódcy batalionu i jego sztabowi. Wszystko to było filmowane przez operatora, mimowolnie więc staliśmy się głównymi bohaterami ghańskiego filmu dokumentalnego. Po krótkim, okolicznościowym toaście dowódcy, który za naszym pośrednictwem podziękował wszystkim Polakom za terminowe, bezkonfliktowe i efektywne zabezpieczenie logistyczne operacyjnej działalności jego jednostki, należało, choć wcale nie byliśmy do tego nieprzygotowani, zrewanżować się. Chcąc nie chcąc, musiałem zabrać głos i po angielsku wygłosić toast mniej więcej tej treści: „Panie pułkowniku, panie, panowie jest mi przyjemnie słyszeć tak pozytywną ocenę naszej pracy ze strony ghańskich przyjaciół. Nie jest to jednak tylko i wyłącznie nasza zasługa, bo przecież gdyby nie Wasza pomoc, koordynacja i terminowe uzgodnienia, osiągnięcie tak wysokiego stopnia

efektywności nie byłoby możliwe! Dlatego, w oczekiwaniu na dalszy postęp i zacieśnienie naszej współpracy oraz autentycznej sympatii, chciałbym na ręce dowódcy i szefa sztabu batalionu, a za ich pośrednictwem dla wszystkich oficerów Ghanbatt przekazać choćby po kropelce jedynego dostępnego tu polskiego produktu, mam nadzieję, że dobrego!

Dzięki dwóm flaszkom „Wyborowej", wręczonym dowódcy i jego zastępcy, co rzecz jasna zostało utrwalone na taśmie filmowej, wyszliśmy z opresji z twarzą, jak sądzę, ku zadowoleniu przemiłych gospodarzy. W przyjęciu brało udział, razem z nami, dwudziestu kilku oficerów. Po upływie pół godziny, po tym jak kamerzysta i redaktorzy opuścili mesę, przyjęcie nabrało bardziej kameralnego i rzeczywiście przyjacielskiego charakteru. Jedno co mnie u ghańskich przyjaciół nieco raziło, to sztucznie podtrzymywany dystans między oficerami starszymi a młodszymi. U nas w trakcie towarzyskiego przyjęcia nie było wymogu, aby podwładny, rozmawiając z przełożonym przy stole, musiał robić to w pozycji „na baczność".

W trakcie bankietu mieliśmy niepowtarzalną okazję spróbować typowo ghańskich potraw – smacznych, ale tak piekielnie ostrych, że aż zapierających dech w piersiach, oraz podziwiać ludowe tańce wykonywane przez kilka czarnoskórych dziewcząt w pięknych narodowych strojach, na co dzień pełnowartościowych żołnierzy, służących w batalionie na różnych stanowiskach, najczęściej medycznych i biurowych. Po północy na placu boju pozostaliśmy jedynie my, ksiądz kapelan, dowódca i jego adiutant absolutny abstynent, ale wszystko nadzorujący. Większość „Czarna Kolega", nie przyzwyczajona do tak wielkiej liczby toastów, dawno padła „na polu chwały". Widząc to, chcieliśmy w dyplomatyczny sposób podziękować za przemiły wieczór i wycofać się na z góry upatrzone pozycje. Niestety, nie było nam to dane tak długo, jak długo dowódca trwał na posterunku. W końcu nadmiar alkoholu zmógł i jego, mogliśmy więc pożegnać się i udać na niewątpliwie zasłużony odpoczynek.

Krokiem chwiejnym, aczkolwiek pewnym, w egipskich ciemnościach ruszyliśmy w kierunku naszego baraku, co chwila zawadzając o linki naciągowe ghańskich namiotów. W pewnym momencie jeden z nas, chcąc załatwić nagłą potrzebę fizjologiczną, obsikał w ciemności namiot ghańskich kucharzy. Staliśmy się tego świadomi dopiero wtedy, gdy niespodziewanie zostaliśmy oświetleni i jednocześnie oślepieni ostrym światłem ręcznego reflektora. Czarny żołnierz w białym kitlu gadał coś do nas po swojemu, a sądząc po minie, niezbyt przyjaźnie. Gdy na pagonach zobaczył gwiazdki, wyprężył się, zasalutował i od razu zmienił ton. Z reguły niespotykanie spokojny sprawca zamieszania nagle nabrał dowódczych zapędów i po angielsku zaczął ustawiać żołnierza, dlaczego oddaje honory do „pustej" głowy. Biedny Murzynek próbował mu to wyjaśnić, ale percepcja pijanego jest zupełnie inna i kolega nie przyjmował do wiadomości żadnych tłumaczeń. Sytuacja zaczynała być groźna, bo z namiotów zaczęli wychodzić inni wybici ze snu żołnierze. Chcąc Ghańczykowi zademonstrować, jak u nas, oddaje się honory, Zbyszek próbował zasalutować, ale zachwiał się i – zapewne niechcący – otwartą dłonią pacnął w twarz Murzyna.

Szybko oddaliliśmy się z miejsca incydentu. Zanim dotarliśmy do naszego baraku, ghańscy żołnierze byli tam przed nami i zrelacjonowali, na szczęście kolegom, a nie przełożonym, że „Polish officer bach bach Ghanian soldier". Ci, szybko wciągnęli nas do baraku, nie bez podstaw przewidując surowe konsekwencje za taki wyskok. Docierało to i do mojej świadomości, bo przecież jak to możliwe, aby socjalistyczny oficer mógł pobić czarnoskórego

szeregowca. Nagle oczyma wyobraźni widziałem się na raporcie karnym u towarzysza Gierka w KC PZPR, od którego mogłem spodziewać się tylko wilczego biletu i dyscyplinarnego wylania na zbity pysk. Za żadne skarby nie mogłem zasnąć. Najbardziej wkurzało mnie to, że sprawca całego zamieszania, nie zdając sobie sprawy z powagi sytuacji, spał jak nowo narodzone dziecię, od czasu do czasu pochrapując. Do rana nie zmrużyłem oka, intensywnie myśląc, w jaki sposób załagodzić groźny, jak mi się wydawało, konflikt. Jeszcze przed godz. 6.00 „na siłę" zwlokłem z wyrka kolegę, zaciągnąłem pod prysznic aby szybciej wytrzeźwiał i zdecydowałem, żeby pójść do naszego wczorajszego gospodarza i prosić go, aby sprawie nie nadawał biegu. Zbychu dość łatwo dał się przekonać do takiego załatwienia sprawy, tym bardziej że niektóre szczegóły nocnego zajścia wraz z alkoholem wywietrzały mu z głowy, a teraz docierały do jego świadomości ewentualne konsekwencje.

Z duszą na ramieniu udaliśmy się do dowódcy Ghanbatu, licząc w duchu, że uda się sprawie ukręcić łeb. Kadra oficerska po wczorajszej libacji ciągle jeszcze spała, ale oficer dyżurny szybko spowodował, że przed nami zjawił się adiutant dowódcy. Przedstawiliśmy mu sprawę, ale młody i sympatyczny porucznik powiedział, że nie mamy się czym przejmować, sprawa jest załatwiona, a dowódcy dla takiej dupereli nie będzie budził. My nalegaliśmy jednak, aby pułkownik przyjął nas, nawet w łóżku, bo dla własnego samouspokojenia zależało nam na jego oficjalnej decyzji. W końcu udało nam się uprosić adiutanta i ten wprowadził nas do namiotu wodza.

Dowódca po wczorajszej libacji nie wyglądał zbyt kwitnąco. Normalnie hebanowoczarna twarz teraz miała kolor ziemistoszary, a worek z lodem na głowie potwierdzał naszą wstępną diagnozę. Dość zawile tłumaczyłem mu wczorajszy incydent. Sprawca incydentu co chwila przepraszał i zapewniał, iż jego postępowanie było absolutnie nie zamierzone, ale widać było, że ghański wódz nie bardzo wie o co chodzi i czego od niego oczekujemy. Wreszcie, trochę zniecierpliwiony, kazał adiutantowi zawołać kucharzy. Po chwili w namiocie stało czterech Murzynów w białych kitlach. Dowódca poprosił nas, abyśmy rozpoznali, z którym mieliśmy wczoraj niezbyt przyjemny kontakt. I tu wyłonił się problem, bo rozpoznanie jednej z czterech niemal identycznych postaci, jednakowo ubranych, o takim samym wzroście i podobnej sylwetce przerastało nasze możliwości. W końcu jeden z nich sam się przyznał do nocnego spotkania z nami. Po tym wyznaniu dowódca wyskoczył z łóżka jak porażony prądem, dopadł do żołnierza, pięścią uderzył go w twarz, kopnął w tyłek i brutalnie wypchnął z namiotu, po czym z przemiłym uśmiechem na twarzy zapytał, czy jesteśmy zadowoleni z załatwienia sprawy. Przy pożegnaniu się dodał, że naprawdę jest zaskoczony, że z taką sprawą przychodziliśmy do niego zamiast skopać tyłek żołnierzowi, który ośmielił się zwrócić uwagę oficerowi.

Do siebie wróciliśmy zszokowani i gdy całe zajście zrelacjonowaliśmy kolegom, nie chcieli uwierzyć, że wszystko skończyło się dobrze. W dodatku kilka dni później ghański kucharz spotkał przypadkowo sprawcę zamieszania i to on go przepraszał, czyniąc delikatne wymówki, że zupełnie niepotrzebnie poszliśmy ze sprawą do dowódcy batalionu. No, ale kto mógł o tym wiedzieć, w końcu co kraj to obyczaj.

Kilka tygodni później z Ghańczykami miałem jeszcze jedną zabawną historię. Będąc w Fanarze znów miałem okazję spotkać się z ppłk. Jamesem i kapelanem, który w czasie lunchu nieśmiało zapytał: „Czy ewentualnie byłaby możliwość, aby w któryś weekend

Polacy w drodze wyjątku zabezpieczyli transport dla ghańskiej kompanii na całodniową wycieczkę do Gizy pod piramidy?!".

Zaskoczony pokornym tonem pytania, odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że nie ma najmniejszego problemu, z tym tylko, że po prostu zamówienie na samochody muszą złożyć nie do mnie, ale do naszego dowódcy, a transport dostaną na sto procent. Mimo to księżulo, zwracając się do mnie, nadal bardzo krygując się, zapytał: „A czy ty, Pawle, po starej znajomości, nie zechciałbyś wziąć udziału w naszej wycieczce w przyszłą niedzielę, oczywiście o ile nie będziesz miał nic innego do roboty? Doskonale wiem, że roboty wam nie brakuje przez cały tydzień, więc nie miałbym odwagi psuć komukolwiek weekendowego odpoczynku! Nawet zwracając się do ciebie, mam wyrzuty sumienia, ale mam nadzieję, że zrozumiesz to, iż oprócz weekendu nie da się zorganizować tego typu imprezy i dlatego spodziewam się, że kto jak kto, ale ty chyba nam nie odmówisz!". Cóż mi więc pozostało? Musiałem się zgodzić i robić dobrą minę do złej gry.

W niedzielę o godz. 6.30 wraz z kierowcami i sześcioma samochodami Star-66 zameldowałem się w Fanarze. Ghańczycy byli już po śniadaniu i gotowi do załadunku. Jeszcze tylko szybka kawa z dowódcą i mieliśmy ruszać, kiedy nagle wybuchła awantura, która mogła przesądzić nawet o odwołaniu wycieczki do Gizy. Okazało się, iż zgodnie z zamówieniem Ghańczyków przyjechałem sześcioma ciężarówkami bez „gazików" dla oficerów, którzy zgodnie ze swymi narodowymi regulaminami odmówili jazdy w kabinach ciężarówek lub na skrzyni ładunkowej razem z żołnierzami. Sprawa jednak została szybko rozwiązana, bo kierownik wycieczki, szef sztabu batalionu, na poczekaniu zorganizował dwa jeepy dla swych oficerów i z zaledwie kilkuminutowym opóźnieniem ruszyliśmy w długą drogę. Wraz z kapelanem i dowódcą kompanii zaproszony zostałem do prowadzącego kolumnę jeepa szefa sztabu.

Ledwo wyjechaliśmy z Fanary, gdy ten ostatni zapytał mnie, czy znam drogę pod piramidy. Zgodnie z prawdą odpowiedziałem mu, że owszem, ale spod Heliopolis, ale nie wiem, jak wjeżdżając do miasta od tej strony, dostać się w rejon hipodromu. Z opresji wybawił mnie ghański kierowca, który autorytatywnie stwierdził, że był w Gizie już kilka razy i trafi tam bez problemu.

Wszystko było w porządku do chwili, gdy dotarliśmy do przedmieść Kairu. Tam dzielny wojak Bambo pogubił się całkowicie, ale nie chciał tego okazać przełożonym licząc, że w końcu trafi na właściwy kierunek. Przez jakiś czas kręciliśmy się w kółko, aby w końcu na wąskich, zastawionych straganami uliczkach czoło naszej kolumny spotkało się z własnym ogonem. Powstał trudny do opisania galimatias, bo nie dało się ruszyć ani do przodu, ani wycofać ciężarówek. W tej sytuacji najbiedniejszy był kierowca naszego jeepa, uprzednio deklarujący znajomość trasy, teraz okładany bezlitośnie przez wszystkich, z moim wyjątkiem, pasażerów swego pojazdy. Najśmieszniejsze, że najbardziej aktywny w tym przedsięwzięciu był ksiądz kapelan, który swym ciężkim, oprawnym w skórę brewiarzem walił żołnierza po głowie. Kolor skóry porządnie obitego nieszczęśnika zmienił się na popielaty, ubarwiony strużkami krwi powoli spływającej z rozbitego nosa i rozciętej wargi. Przekupiony paczką kentów, jeden z arabskich sklepikarzy zwinął swój narożnikowy stragan owocowo-warzywny, dając nam w ten sposób niewielką przestrzeń do manewru ciężarówkami. Po dwóch godzinach naprawdę ciężkiej harówy i, co należy podkreślić, przy

wydatnej pomocy Arabów udało nam się wyplątać z matni. Jeden z taksówkarzy gratis wyprowadził nas na trasę do lotniska, a stamtąd już bez kłopotów doprowadziłem kolumnę pod piramidy w Gizie.

Byłem tak zmęczony, że nie przyjąłem zaproszenia do zwiedzania piramidy Cheopsa, w której zresztą byłem już dużo wcześniej, przedkładając nad to kilkunastominutową drzemkę na skrzyni samochodu. Ten, kto miał okazję być wewnątrz piramidy doskonale wie, że wspinanie się w pozycji mocno pochylonej, niskim i wąskim, dusznym kamiennym korytarzem do komory grobowej do przyjemności zaliczyć się nie da. Podczas pierwszego mojego tam pobytu doświadczyłem tego w sposób szczególny. Tuż przede mną do komory grobowej z wielkim wysiłkiem zmierzał, niemal w kucki, ciężko sapiąc, okropnie opasły, starszy wiekiem Niemiec. Jego ogromna tusza powodowała, że co chwila klinował się w korytarzyku, choć na moment próbując się częściowo wyprostować. Koszula na plecach ociekała potem, ale nie to było najgorsze. Sapiąc z wysiłku jak parowóz ciągnący skład pod górę, puszczał gazy z niespotykaną wprost częstotliwością. Wydzielał tak smrodliwy fetor, że skunks przy nim to perfumy Coco Chanel. Dlatego po raz drugi nie odważyłbym się wejść do piramidy w liczniejszym towarzystwie. Z uwagi na to, że Ghańczycy, podobnie jak my, groszem nie śmierdzieli, uniknęliśmy na szczęście gorączki zakupów pamiątek spod piramid, czy przejażdżek na wielbłądach i od razu mogliśmy ruszyć do nieodległej Sakkary, gdzie zlokalizowana jest bardzo atrakcyjna architektonicznie świątynia byków. Po powrocie z czarnymi turystami do Fanary byłem tak skonany, że po wypiciu w mesie oficerskiej dwóch puszek piwa, całą powrotną drogę do Ismailii przespałem.

Czas mojej pierwszej pokojowej misji powoli dobiegał końca. Niektórzy koledzy, zwłaszcza młodsi wiekiem i nie obciążeni obowiązkami rodzinnymi, pisali prośby o pozostawienie ich na kolejną zmianę. Rzecz jasna chodziło głównie, o ile nie jedynie, o pieniądze. Pomimo że ludowa ojczyzna „robiła nas w konia", to i tak te 275 dolarów, po odliczeniu kosztów własnych, równało się dwóm–trzem miesięcznym pensjom w kraju. Szczerze przyznam, iż mimo zdecydowanego sprzeciwu małżonki, też rozważałem taką ewentualność, ale mój raport został załatwiony odmownie, jak sądzę z powodu łatwości i skłonności do nawiązywania bliższych kontaktów z cudzoziemcami, w tym także, a być może przede wszystkim, z obywatelami państw członkowskich NATO. Tak więc ostatnie tygodnie, oczywiście w miarę ograniczonych możliwości finansowych, upływały mi na gorączkowych zakupach, głównie złotych wyrobów jubilerskich, orientalnych pamiątek typu metalowe talerze zdobione srebrem oraz arabskiej białej broni.